Nr. 10. We Lwowie dnia 11. marca 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z pamiętnych dni.

1) (20., 21. i 22. marca 1848 r. w Poznaniu.)

Na pierwszą wieść o wybuchu rewolucji w Berlinie (d. 18. i 19. marca 1848) opanowało ludność polską miasta Poznania gorączkowe wzburzenie. Już 19. marca na ulicach rozdzielano kokardy o narodowych barwach, wywieszano z okien domów chorągwie polskie. Do późnej nocy przeciągały tłumy, śpiewając narodowe pieśni. Upadek absolutyzmu — bo za taki uważano rewolucję berlińską — powitany został jako zapowiedź politycznej niezależności Polski. Entuzjazm nazajutrz nietylko się nie zmniejszył lecz wzrastał z elementarną siłą.

Tłumy ludu zebrały się od samego rana w ulicy Nowej przed Bazarem. Również i rynek był pełen ludzi. Gromady, przystrojone w amarantowo-białe kokardy, przeciągały po ulicach. Tu i ówdzie oznajmiano głośno najnowsze wiadomości. Tłum przyjmował je okrzykami radości. Rewolucja wisiała w powietrzu.

Około 11-ej godziny z rana zaalarmowano wojsko. Liczne patrole krążyły po mieście, lecz nigdzie nie było żadnych starć z ludnością.

Deputacja zebranych w Bazarze obywateli udała się do naczelnego prezesa, którym był wówczas v. Beurmann, aby żądać pozwolenia na odbycie zgromadzenia publicznego, celem omówienia i ułożenia petycji politycznej, któraby dotyczyła narodowej sprawy polskiej i doręczoną być mogła królowi.

W imieniu zebranych udali się do prezesa hr. Mielżyński z Kobiernicy, generalny dyrektor landszafty Brodowski i właściciel drukarni Stefański. Beurmann pozwolenia udzielił. Wybrano przez aklamację Komitet Narodowy, którego członkami byli: Andrzejewski, mistrz ślusarski; Berwiński, literat: Moraczewski, historyk; Fromholz, ksiądz; Janiszewski, ksiądz; Jarochowski, dyrektor landszafty; Krauthofer (Krotowski) adwokat; Jan Palacz, wójt Górczyna; Gustaw Potworowski, właściciel dóbr; Seweryn Mielżyński; Prusinowski, ksiądz; Stefański właściciel drukarni.

Po ukonstytuowaniu się komitetu odczytano zebranemu ludowi projekt petycji do króla. Przyjęto projekt przez aklamację.

Komitet wydał tegoż samego dnia, tj. 20. marca, odezwę, którą rozlepiono już popołudniu, nawołując do utrzymania wzorowego porządku i spokojności, unikania rozlewu krwi. Zachęcając do składania ofiar na ołtarzu dobra publicznego, komitet obiecuje drogą pokojową i legalną uzyskać wolność ojczyzny.

Naczelny prezydent Beurmann po namyśle cofnął swe pozwolenie na odbycie publicznego wiecu i ogłosił czynności komitetu narodowego za bezprawne, nie przedsiębiorąc jednakowoż żadnych środków, aby zakaz swój przeprowadzić.

Porozumiawszy się z Beurmanem, komenderujący generał von Colomb udał się wieczorem tegoż dnia, przed wyjazdem deputacji do Berlina, do arcybiskupa X. Przyłuskiego, żądając od niego użycia wpływu dla zażegnania wypadków. Nazajutrz jednak arcybiskup z Poznania wyjechał na czele deputacji do Berlina.

Komitet narodowy, nawołując do utrzymania spokoju publicznego i unikania rozlewu krwi, mniej może działał pod wrażeniem widoku snujących się po ulicach wzburzonych tłumów, ile pod wrażeniem propozycji, jaką mu niebawem po jego ukonstytuowaniu się uczynił pewien obywatel, działając w porozumieniu z wysłańcem polskich żołnierzy, stojących załogą w Forcie Winiary. Wysłaniec ten — podoficer — oświadczył, że wszyscy żołnierze polscy na sygnał dany z ratusza, gotowi są opanować fortecę i ubezwładnić skonsygno-

wane w niej wojska. Plan ten, przedłożony komitetowi z najgorętszą zachętą, został odrzucony; jakkolwiek komitet czuł, że od decyzji tej zależeć mogą losy powstania, propozycji nie przyjął, rzekomo z powodu obawy, aby w Berlinie nie zamordowano więźniów polskich, uwięzionych w moabickiem więzieniu skazańców z procesu 1847 r. podobnie zaś dlatego, że komitet sam jeszcze nie zdawał sobie dobrze sprawy ze swych zamiarów i wytycznej drogi sobie nie nakreślił.

Co prawda, wówczas o wypuszczeniu spiskowców z Moabitu jeszcze nie wiedziano. Gdy później wieść o uwolnieniu więźniów doszła do Poznania, już czas dogodny minął. Władza wojskowa, baczności której nie mógł ujść ruch pomiędzy Polakami-żołnierzami, rozlokowała ich poza murami fortecy. Tak więc minęła okazja zadania silnego ciosu wojskowym siłom, stojącym załogą w Poznaniu.

Nazajutrz, dnia 21. marca, wydał komitet narodowy odezwę do ludności niemieckiej, zapewniając ją uroczyście, że własność prywatna i bezpieczeństwo osobiste każdego pozostanie nienaruszonem. Komitet wzywał dalej Niemców do popierania sprawy polskiej swą sympatją i zaufaniem a stanowisko swe wobec ludności niemieckiej określił w tych słowach:

„Wyciągamy do Was dłoń bratnią, spodziewamy się i oczekujemy załatwienia naszej sprawy z Wami na drodze pokojowych układów“.

Cywilne władze pruskie zupełnie były bezradne. Rozlepiano tylko na wszystkich rogach odezwy naczelnego prezesa, grożące surowemi karami tym, którzy by się dopuścili zakłócenia porządku publicznego. Lecz żadnych ekscesów na ulicach nie było, dzięki dobrze zorganizowanej straży obywatelskiej, utworzonej z polecenia komitetu narodowego. To też naklejaczy plakatów naczelnego prezesa, którzy co chwila pojawiali się na rogach ulic z obwieszczeniami o coraz odmiennej treści, a zawsze groźnej formie, witano głośnemi salwami śmiechu i naklejano na odezwy prezesa Beurmana odezwy komitetu narodowego.

Komitet narodowy, którego siedzibą był Bazar, miał już faktycznie w swem ręku rządy nad miastem. Generał von Colomb, nie wskórawszy nic na audjencji u arcybiskupa dnia poprzedniego, postanowił zdusić rewolucję w jej gnieździe i, jakgdyby oddaną mu była w ręce dyktatura, wykonał zamach na Bazar. O godzinie czwartej popołudniu otoczył bataljon jegrów (obecnie 1 szląski bataljon jegrów Nr. 5) gmach Bazaru. Drzwi wyważono i z okrzykiem „hura“ i dobytym bagnetem rzucili się żołnierze do wnętrza. Lecz nikt ich z bronią w ręku nie przywitał. Pomimo to śmiertelne rany od cięć szablą i pchnięć bagnetów odniósł bezbronny służący Chilewski. Pierwsza to krew polała się wtedy w Poznaniu. Trzeba było największych wysiłków komitetu, aby uspokoić wzburzony tłum, który gotów był rzucić się na wojsko na wieść o zajęciu Bazaru i pastwieniu się nad bezbronnym.

Następnego dnia, tj. 22-go marca przyszła wieść o wypuszczeniu więźniów polskich z więzienia. Wieść ta wzbudziła w ludności poczucie własnej siły, tak że około południa, wskutek konferencji władz cywilnych z wojskowemi, wycofano wojska z obrębu miasta prawie zupełnie, pozostawiając jednak żołnierzy na głównym odwachu i w Bazarze.

Zupełnie nie wiedząc, co robić, wysłał generał Colomb po instrukcje do Berlina komendanta brygady Brandta, a oprócz tego wydał od siebie odezwę, przypominającą ludności, a zwłaszcza landwerze, przysięgę na wierność królowi, „który do chwili obecnej panem być nie przestał“. Dodał też generał, że „jedynie z ramienia królewskiego utwierdzone władze mają prawo do administrowania krajem“.

Uwaga ostatnia spowodowana została faktycznem objęciem rządów przez Komitet narodowy. Po zajęciu Bazaru przez wojsko, władze miejskie ofiarowały salę obrad w ratuszu Komitetowi Narodowemu, który zajął się rozesłaniem komisarzy na prowincję w celu zorganizowania powiatowych i miejskich komitetów lokalnych, utworzenia straży obywatelskiej i rozpowszechnienia odezwy z dnia 20. marca. W tym celu wydał Komitet Narodowy (d. 22. marca) instrukcję do podkomitetów prowincjonalnych, polecając im utworzenie w każdem miasteczku i w każdej wsi „obrony narodowej“, do której pociągnięci być mieli wszyscy obywatele w wieku od 17 do 50 lat, każdy uzbrojony przynajmniej kosą, lancą lub widłami. W samym Poznaniu dużo było do zrobienia, gdyż Komitet narodowy przyjął wobec naczelnego prezesa i komenderującego generała wszelką odpowiedzialność na siebie za utrzymanie spokoju publicznego. (D. c. n.)

Dr. K. Rakowski.

Z symfonji jesiennej.

Drzew falą bór się kłębi
J pryska gałęź sucha,
Wśród chaszcz jak bunt wybucha
Moc wichru... W leśnej głębi

Na giętkie, młode pnie
W rozpędzie zarzuca ramię —
J czoła do ziemi gnie
J łamie....

A z koron mrących drzew
Tumanem lecą liście,
Jak świeża, czerwona krew,
Jak złoto tlące ogniście;
Z buków strząsane czoła
Powietrzny tan dokoła
Na rdzawym zawodzą mchu,
Bez sił — bez tchu...
I jakby sądu godzina
Szła w bór z nienacka,
Złowroga...

Jesiennych obłoków łono
W strzępy drze wicher — rozrywa.
Zagadka jakaś straszliwa
Za chmur się tai oponą...
I jakby sądu godzina
Szła w bór z nienacka,
Złowroga —
I jakby dłoń świętokradzka
Zasłonę zwlec chciała
Z Boga!..

W morzu rozchwianych gałęzi
Północny wicher grzmi i przeklina
I dech utraca — i rzęzi
I milknie — i cichną knieje
I krzepnie puszcza głucha,
A w ciszy — bór tężeje,
Prostuje się — i słucha...

I nagle znów zdaleka,
Coś zrywa się, coś zbliża,
Jak wartka szumi rzeka,
Jak fala leci chyża,
I znowu w leśnej głębi
Wichrowy bunt wybucha
I pryska gałęź sucha
I drzew się fala kłębi!..

A z wichrem — dawne rany,
Przedwieczne krzywdy płaczą,
Ból ziemi rozpętany
Grzmi w nieba strop — rozpaczą!..
Tysiącem pięści grożą
Ramiona jakieś z dali —
I tysiąc pięści wali,
W zapartą furtę bożą!..

Tajemnych skarg wymowa
W tumany zwiędłych liści
Płomienne rzuca słowa —
I barwi je — czerwono,
I palą — i płoną
Próśb wrzących antyfoną...
Sen jakiś zły się iści!..

Aż gdzieś — przez chmur kotarę
Ostatnie błyski ślące
We mgły zapada szare
Jesienne — krwawe słońce.....

Wtedy — w rozgłosach ech
Odbity wicher — mdleje —
I jak ów brytan, gdy mu tchu nie starczy,
Pada na mech —
I w ciszy....
....Warczy —
I dyszy.....

A w krąg — gromadą
Na rdzawych mchach
Cienie się kładą —
I czuwa — Strach...

I znowu milkną knieje
I krzepnie puszcza głucha
A w ciszy — bór tężeje,
Prostuje się — i słucha....

1. marca 1900.

Kartki naukowe.

O znaczeniu substancyj mineralnych w fizjologji zwierzęcej

przez

Dr. M. STEFANOWSKĄ.

Główne pożywienie roślin stanowią rozmaite sole mineralne, które rośliny korzonkami swymi wysysają z ziemi. Zwierzęta i człowiek żywią się poczęści roślinnością, a po części mięsem zwierząt. Więc pod względem odżywiania się, różnica między światem zwierzęcym i roślinnym, wydaje się tak ogromną, iż niedawno jeszcze służyła do określenia obu działów przyrody. Jednakże w miarę postępów fizjologji, przekonywano się z dniem każdym, że powyższa różnica zaciera się coraz bardziej, tak iż dziś nie znamy ani jednej takiej cechy w życiu zwierząt, którejby nie posiadały i rośliny, czyli innemi słowy, wszystkie najważniejsze funkcje życiowe odbywają się w jednakowy sposób u zwierząt i u roślin. Oczywiście pod względem cielesnym człowieka zaliczyć musimy także do zwierząt.

Najnowsze badania naukowe dowiodły, że sole mineralne podtrzymujące życie w roślinach, są również niezbędnemi i dla zwierząt. Wiemy teraz dokładnie, że wszystkie organy, wszystkie bez wyjątku płyny w naszem ciele zawierają pewną ilość substancji mineralnych. Ponieważ jednak minerały te tracimy wciąż za pomocą rozmaitych wydzielin, trzeba tedy koniecznie, aby straty te powetowane były niebawem, gdyż inaczej zdrowie nasze cierpieć na

tem będzie. Fizjologowie ciekawe robili doświadczenia nad tym przedmiotem. Dawano np. szczurowi lub królikowi pokarm zupełnie pozbawiony soli mineralnych. Zwierzęta początkowo nie zbyt cierpiały z powodu braku minerałów, ponieważ miały dawne ich zapasy we krwi, mięśniach i mózgu. Ale powoli zaczynały chudnąć i słabnąć, aż w końcu gwałtowne zaburzenia objawiły się w ich systemie nerwowym.

Sole mineralne, znajdujące się w naszym organizmie, są bardzo liczne i mają doniosłe znaczenie w funkcjach wewnętrznych. Do najważniejszych soli, znalezionych w organizmie, zaliczają się sole fosforu, siarki, chloru, sodu, potasu, wapnia i magnezu, prócz tego w życiu zwierzęcem pierwszorzędne znaczenie posiada żelazo w połączeniu z tlenem. Wyżej wymienione sole znajdują się bez wyjątku prawie we wszystkich organach i płynach zwierzęcych.

Aby lepiej zrozumieć znaczenie minerałów dla naszego zdrowia, weźmy kilka przykładów: Wszyscy wiemy, że żelazo koniecznie jest potrzebne dla kulek krwi. Gdy ilość żelaza we krwi zmniejszy się nieco wskutek nieznanych często przyczyn, wówczas następuje ogólne osłabienie i rozstrój organizmu, zwany anemją.

W kościach naszych znajduje się wiele soli wapiennej zwanej fosforanem wapnia, który wraz z innemi solami nadaje sztywność i moc niezbędną dla tych organów. Sól kuchenna jest tak potrzebna dla normalnego przebiegu życia, iż człowiek od najdawniejszych czasów dodaje soli do swych pokarmów, chociaż pewna jej ilość znajduje się zawsze w roślinach i mięsie zwierzęcem, które człowiek spożywa. Dla zwierząt mięsożerczych wystarcza ta ilość soli, jaką znajdują w świeżem mięsie, ale dla zwierząt trawożerczych, pożądanem jest dodawanie nieco soli do pokarmów, o czem wiedzą zresztą dobrzy gospodarze.

Oprócz wyżej wymienionych soli i tlenku żelaza, których znaczenie w fizjologji jest mniej lub więcej znanem, napotykają się także w organizmie pierwiastki, rola których nie jest bynajmniej wytłómaczona, jak np. fluor i krzem.

Fluor połączony z wapniem znajduje się w kościach, zębach, we krwi. Krzem znajduje się we włosach, w kościach, w ślinie i żółci.

Z powyższego opisu wysnuwa się wyraźnie, że ciała mineralne są nieodzownie potrzebne do podtrzymania licznych funkcji życiowych w organizmie zwierzęcym i ludzkim. Tu powstać może pytanie, dla czego znaczenie dla nas materji mineralnej tak długo pozostawało nieznanem? Pochodzi to z dwóch przyczyn. Popierwsze, poszukiwanie materji mineralnej w rozmaitych tkankach zwierzęcych, połączone jest z wielkiemi trudnościami, gdyż ilość minerałów jest nader drobna w porównaniu z ilością materji organicznej. Powtóre, nie wiedziano jakim sposobem powstają połączenia i rozkład materji w organizmie zwierzęcym. (D. n.)

WYKLĘCI.

Szkic.

I.

Stary jakut, który przyszedł właśnie przed chwilą, by poprawić ognisko, ukończywszy grzebanie w niem osmalonym patykiem jakimś, zwrócił się do wysokiego Bratatałowicza i wyrzekł zniecierpliwionym, oschłym, niezadowolonym i pełnym złości głosem:

— Jak chcecie, pan Braczaczewicz! ja już u was dłużej nie wybędę, mnie nie potrzeba żadna wlec się, jak chuda suka, po kątach i nawet porządnej z tłuszczem kości do ogryzienia nie mieć... Nie chcę was! Szukajcie sobie innych, ja nie wybędę, wy wiecie, ja nie potrzebuję głodu, mnie nie nużda żadna, ja nawet porządnej kości od was nie dostanę... Ja nie chcę!

I powtarzając to ciągle w kółko, miał w ręce poczerniały patyk i odwróciwszy się od Bratatałowicza, bełkotał coś dalej jeszcze z wrastającą coraz więcej głuchą niechęcią i nienawiścią...

Bratatałowicz stał niemy, zdumiony tem, co nagle usłyszał i jakby niedowierzający... W oczach jego czytać można było zgrozę, widać było, iż nie chciał przypuścić, by to, co z suchej piersi starego jakuta wychodziło, prawdą być mogło... W jego skurczonych ustach przebijała się jakaś boleść, w ciężko sfałdowanem czole straszna, nagle powstała troska.

Po chwili wydusił zdumiony:

— Co ty, Rybka, pomieszania dostałeś, czy „gorzką“ się upiłeś? Co ty znowu?

Jakut stał niemy. Nagle obrócił się szybko w stronę Bratatałowicza i, mierząc go wściekłym wzrokiem, wybuchnął:

— Tak, wy to wiecie! Nie potrzebujecie mnie „robić“ pijanym, ani pomieszaniem wyzy-

wać... Już wy dobrze wiecie! Ja, pan Braczaczewicz, u was nie będę, nie będę! Rozumiecie, pan Braczaczewicz? — powtórzył, przyskakując do mężczyzny z iskrzącym wzrokiem i wymachując kościstemi bronzowemi rękoma, — ja nie będę, nie będę!

To mówiąc, stanął i wpatrywał się w wysokiego Bratatałowicza, który wzajem patrzył się w niego z zdziwieniem niezmiernem, jakby mało z tego pojmując.

Naraz w drugiej izbie zapłakało dziecię. Żałośne jego kwilenie poczęło przechodzić w głośny płacz, aż potem zlało się w krzyku niemowlęcym, doniosłym, zgrzytliwym, wstrząsającym...

Bratatałowicz drgnął i zdawało się na chwilę zapomniał o kłótni jakuta. Potem twarz jego się skurczyła, w oczach zaświecił ból...

Rybka zdawał się niezmienionym i zupełnie obojętnym na to, co z drugiego pokoju dosłyszał. Wyraz twarzy jego tylko stał się więcej spokojnym, ale zato zaciętszym i jakby uporczywszym. Stał pochylony nieco, a białka jego oczów błyskały tu i ówdzie ponuro...

Dziecko zaczęło zawodzić coraz silniej.

— Rybka, kak tebe Boga ne strach takim czełowikom byt'? Zali nie masz upamiętania nawet na taką chwilę?

Lecz Rybka, który był jak rozzłoszczone małe dziecko, powtarzał wciąż swoje uporczywie:

— Ja nie mogę, ja zdechnę... mnie nawet kości nie dajecie... Ja nie mam choć tyle tłuszczu... Mnie tu nie służba, ja nie mogę!

Wysoki Bratatałowicz, na którego wychudłej i znędzniałej twarzy odbił się straszny ból i przygnębienie, przemówił do niego raz jeszcze:

— Nie gub duszy, Rybka... Wiesz przecie, że i ja już dawno suche tylko kości obgryzam, a co lepsze żonie oddaję... Przyjdzie lepiej, będzie i tobie tłuszcz i mięso... Na Chrysta molim cię, Rybka, nie porzucaj, czełowikom bądź!

Jakut wpatrywał się bezmyślnie w mówiącego i, jakby echo jego, powtarzał za nim wieczną swą strofkę wraz z ostatniemi słowami Bratatałowicza:

— Czełowikom bądź... Ani tłuszczu, ani mięsa... Psia służba! Nic niema... Czełowikom bądź... Nic nie dają, nie potrzeba, nie nużda żadna, czełowikom!..

A Bratatałowicz usiadł, jak kamień na krzywym zydlu jakimś i mając w głowie, w duszy i w sercu płacz i kwilenie dziecięcia, które wołało pokarmu z piersi, nie posiadającej go już wcale, myślał o okropnym losie swoim i tych dwojga związanych z nim istot. A płacz dziecka mieszał się ciągle z mamrotaniem jakuta i zdawało się, że wszystko: dom, sprzęty i puste naczynia, że to wszystko powtarza za Rybką groźne i złowieszcze słowa:

— Tłuszczu niema, mięsa niema, nic niema... Psia służba, psia służba!...

II.

— Co wy, panie? Ja nie mogę. Przecież widzicie, że u mnie tak jużo kuso. A co ja pocznę, jak gorsze zimna nadejdą? Choć z głodu zdychać!

— Trochę tylko, mało, pożyczcie... Oddam z pewnością, w środku zimy, po Bożem Narodzeniu zaraz...

— Nie mogę, sąsiedzie! Ot, chleba kawał, chcecie, bierzcie... Soli trochę, tytoniu, ale nic więcej nie mogę!

Bratatałowicz szedł dalej. Może Batynka mu pożyczy. Wszak odda napewno, aby sam wydobrzał i żona po ciężkim połogu i złej chorobie choć na chwilę się zwlekła... Wszak i nadal do kowalki wziąść się będzie w stanie i choćby sekretarzowi pomódz...

Poszedł do Batynki. Otworzyli mu nieprędko. Wreszcie wyjrzała kosmata głowa:

— Kto tam „stuczy" na dworze?

— Ja, Siergieju Wasilowiczu, otwórzcie, prośbę do was mam...

Po chwili ukazała się w sieni figura niewysoka.

— Wchodźcie, Bratatałowicz! Po pieniądze pewnie? zapomogę? Aj, jaki ciężki rok, jaka ciężka zima! A u was choroba i połóg... Jak ciężko! Co powiecie, Stanisławie Kazimierzowiczu?

— Po dwa ruble was prosić przyszedłem... Nie na długo, na miesiąc! Da Bóg, oddam wam napewno, niech mi żona wstanie i ręce niechaj mi dosłużą... Rybka opuszcza...

— Choć skórę z siebie! Ni kopiejki w domu. Wczoraj Maliwkin ostatnie za smarowidło pobrał... Ani kopiejki przy duszy... Mam cztery... Weźmiecie cztery, Stanisławie Kazimierzowiczu?

Bratatałowicz próbował jeszcze u Sikory. Ale Sikora, który choć był poczciwy z kościami, lecz sam wiecznie w długach, wódką go tylko poczęstował, a gdy mu się zdawało, że brak chleba należy czemś wytłómaczyć, wyjąkał desperacko:

— Ot, choroba i tyle! Gorzałka jedna została na zalanie robaka, a i to póki człowiek nareszcie nie zdechnie... Nawet pomału to się tak przyzwyczaisz, że nie potrzebujesz niczego do niej, sama idzie!

Bratatałowiczowi, którego widmo ostatecznej nędzy przerażało, przyszedł na myśl sekretarz, u którego czasami trochę papierów przepisywał. Teraz bujał on gdzieś po okolicy. Zdybał go jednak niedaleko „kabaku".

— Nie mogę — odparł stanowczo i opryskliwie. — Roboty niema, zresztą nie podołasz, słabyś bracie! Pieniądze się u mnie nie rodzą, a własnych nie mam... Ni „dieneżki" bym ci nie dał, bo u samego goło, jak u świętego tureckiego!

Bratatałowicz powlókł się ciężko do domu. W głowie mu szumiało, w uszach gwizdało przeraźliwie. Zdawało mu się, że nic nie słyszy, że ciemne, ponure i groźne niebo, które wisiało ogromne po nad nim, spływa powoli ku niemu i obejmując go zewsząd chłodnymi płatami swymi, przemienia mu głowę w bryłę...

W domu zaś był jak odrętwiały i tak przesiedział resztę dnia w skamienieniu. (D. n.)

Jan Augustynowicz.

Psychologja tłumu.

Gustaw Le Bon: Psychologja tłumu w przekładzie Z. Poznańskiego. Wydawnictwo Związku naukowo-literackiego. Nakładem H. Altenberga. Lwów 1899.

(3)

Mowca, który pragnie tłum porwać, musi wprost nadużywać gwałtownych zwrotów. Tłum żąda takiej samej przesady i w uczuciach swych bohaterów. Ich zalety i cnoty powinny być zawsze nadzwyczajne, a wymagania, jakie masy stawią sztukom scenicznym, zbyt są znane, aby potrzeba nad tym przedmiotem dłużej się zatrzymywać. Dodać chyba tylko należy, że u tłumu przesada dotyczy tylko uczuć, a w żadnym razie nie inteligencji. U każdego osobnika przez to samo już, iż znajduje się on w tłumie, natychmiast i znacznie obniża się poziom umysłowy. Tylko zatem w sferze uczuć tłumy mogą wznieść się bardzo wysoko albo też, przeciwnie, zstąpić bardzo nisko.

Ponieważ tłum dostępny jest uczuciom wyłącznie prostym tylko i zarazem przesadnym, egzaltowanym, przyjmuje on zatem poglądy, idee i wierzenia, które mu narzucono tylko en bloc i uważa je albo za absolutną prawdę, albo też za również absolutną nieprawdę. Stąd wypływa jego nietolerancyjność, z którą tłum w poczuciu swej siły łączy zawsze samowładność. Zapoznawalibyśmy zupełnie psychologję tłumu, gdybyśmy wierzyli, jak to czynią niektórzy, w przewagę u niego instynktów rewolucyjnych. Łudzą nas w tym wypadku gwałty tłumu, pamiętać jednak należy, że te wybuchy buntownicze i niszczycielskie są zawsze bardzo krótkotrwałe. Tłum zanadto bowiem rządzi się pobudkami nieświadomemi, zanadto ulega zatem wpływom odwiecznej dziedziczności i wskutek tego musi być krańcowo konserwatywnym.

Nie zdając sobie sprawy z tych rdzennie konserwatywnych instynktów mas trudno zrozumieć historję, a zwłaszcza historję rewolucji ludowych — powiada Le Bon. Masy zmieniają nazwy instytucji społecznych i w tym celu dokonywają nieraz gwałtownych przewrotów, ale istota owych instytucji pozostaje zawsze niezmienioną, jest bowiem wyrazem dziedzicznych potrzeb danej rasy.

Kończąc przegląd uczuć tłumu, zatrzymuje się jeszcze Le Bon w osobnym ustępie nad moralnością tłumu.

Poznaliśmy w ślad za Le Bonem w ogólnych zarysach emocjonalną stronę konstytucji psychicznej tłumu. Z kolei trzeba się przyjrzeć teraz jego inteligencji, jego ideom, zdolności argumentowania i wyobraźni. Jak uczucia, gdy owładną duszą tłumu, przybierają formę prostą a zarazem egzaltowaną, tak samo i idee mogą się stać dostępnemi tłumom tylko wówczas, gdy ulegną pewnemu uproszczeniu, a zarazem otrzymają formę bardzo absolutną, bezwzględną. Muszą one przytem być podawane w formie obrazowej. Wogólności nowe idee nie łatwy znajdują przystęp do duszy tłumu, ale gdy raz nią owładną, nabywają mocy nieodpartej. Zakorzeniając się zwolna, również trudno i zwolna tylko uwalniają te raz zaszczepione idee duszę tłumu z pod swej władzy. I dlatego też pod względem ideowym, tłum stoi zawsze o wiele pokoleń wstecz poza uczonymi i filozofami.

Nie można powiedzieć stanowczo — słowa są Le Bona — iżby tłum nie rozumował albo nie poddawał się wpływowi rozumowania. Ale argumenta, których tłum używa i które nań działają, są ze stanowiska logiki tak podrzędnego gatunku, że chyba tylko przez analogję można je zaliczyć do dziedziny rozumowania. W swem rozumowaniu tłum podobny jest do dzikiego, który np. zjadając serce walecznego wroga, mniema, iż stanie się również mężnym, jak ten ostatni. Mówiąc ogólnie, cechą takiego rozumowania, które zresztą także się opiera na asocjacji pojęć, jest kojarzenie rzeczy zupełnie do siebie niepodobnych i natychmiastowe uogólnianie poszczególnych wypadków. Z tego rodzaju argumentacją występują też zawsze wobec tłumów ci, którzy umieją go używać i taka tylko argumentacja odnosi skutek. Nieraz czytając mowy, które wywarły olbrzymi wpływ na pewne zgromadzenie, dziwimy się słabości ich argumentacji, zapomina-

jąc, iż miały one na celu porwać słuchaczy, a nie były przeznaczone na lekturę dla filozofów. Mówca ściśle związany z tłumem, może wywołać obrazy, które są wstanie go porwać a jeżeli to ostatnie uda mu się, dopiął on swego celu i 20 tomów oracji — sfabrykowanych zapóźno — jest mniej wartych od kilku frazesów, zdolnych przeniknąć do umysłów, na które w danym wypadku potrzeba oddziałać.

U tłumu, tak samo, jak u wszystkich istot niezdolnych do prawidłowego rozumowania wielce potężną, czynną i wrażliwą bywa natomiast wyobraźnia. Obrazy wywołane w jego umyśle przez jakąś osobę, przez jakieś zdarzenie lub wypadek, mają barwy tak prawie żywe, jak w rzeczywistości. Dlatego to najmocniej działa na tłumy zawsze cudowna i legendarna strona wypadków.

Tłum, myśląc wyłącznie tylko obrazami, jest też wrażliwy tylko na obrazowe przedstawienie rzeczy i tylko w ten sposób można go przerazić, porwać lub pobudzić do czynu. Dlatego też widowiska sceniczne, tj. obrazy w najdoskonalszej formie, mają zawsze tak olbrzymi wpływ na masy, a plebs rzymski obok panem nie żądał nic więcej, tylko circenses.

Zbadawszy konstytucję duchową tłumów, przechodzi Le Bon do analizy czynników, od których poglądy i wierzenia tłumów zależą, pod wpływem których one powstają i ustalają.

W ich rzędzie stawia autor na pierwszem miejscu rasę, rozumiejąc pod nią zbiór wszystkich tych cech danej grupy społecznej, które każdy dany osobnik otrzymuje drogą dziedziczności, jako spadek po całych stuleciach rozwoju. Otoczenie, okoliczności, wypadki historyczne są to wpływy społeczne przejściowego znaczenia. Doniosłość ich może być wielką, ale zawsze będzie chwilową tylko, jeżeli idą one w kierunku przeciwnym wpływom rasy, które są tak potężne, iż dominują nad szczegółowemi cechami duszy tłumu i tem się tłumaczy różnica w poglądach i wierzeniach tłumów, należących do narodowości rozmaitych. Syntezą tych wpływów rasowych, tej duszy rasy — jak ją nazywa Le Bon — są tradycje, mające najbezpieczniejszą i urągającą wszelkim wpływom świątynię właśnie w duszy mas. Dlatego to np. najoporniej zachowują się wobec wszelkich zapędów wynaradawiania masy ludowe, a najłatwiej ulegają im klasy wyższe.

Ale wszystkie te tradycyjne wierzenia, poglądy i zwyczaje, które spoczywają na dnie duszy tłumu i tworzą najwalniejszą podstawę jego organizacji psychicznej, nie wyrosły w niej odrazu. Dla ich ugruntowania potrzeba było wielu stuleci i dlatego obok rasy i tradycji uważa autor za czynnik trzeci czas, pod działaniem, którego poglądy i wierzenia nietylko powstają, ale i ulegają powolnemu, prawie niedostrzegalnemu rozkładowi.

Instytucjom społecznym i politycznym, jako czynnikom wierzeń i poglądów tłumu, przypisuje Le Bon, zarówno jak oświacie i wychowaniu, znaczenie bardzo małe. Instytucje te bowiem są wytworem, produktem rasy i o tyle tylko utrzymują się u danego narodu, o ile jego charakterowi i skłonnościom odpowiadają. W monarchicznej Anglji znajdujemy o wiele większe swobody, niż w dumnej ze swych republikańskich instytucji Francji, która znowuż z racji swego charakteru narodowego, zdaniem Le Bona, potrzebuje takiej centralizacji administracyjnej, jakiej nigdyby nie znieśli Anglicy. Te same prawie poglądy, co do potrzeby przystosowania systemu edukacyjnego do charakteru narodowego danego społeczeństwa, rozwija Le Bon w ustępie, odnoszącym się do oświaty i wychowania.

Wszystkie wymienione wyżej czynniki nazywa Le Bon pośrednimi. Czynią one tłum zdolnym do przyjmowania pewnych przekonań i absolutnie niezdolnym do przyjmowania innych. Czynniki drugiego rodzaju, które zaraz wymienimy, tworzą jakby nadbudowę nad poprzednimi. Bez pracy przygotowawczej, takich czynników jak: rasa, tradycje i inne, bez tych wierzeń i poglądów, które za ich współdziałaniem powstały, czynniki bezpośrednie, do których Le Bon zalicza: obrazy, słowa i formułki, złudzenia i doświadczenie, nie mogłyby wywrzeć żadnego skutku.

Dopiero znając tę psychikę tłumu, o której mówiliśmy poprzednio, tę jego impulsywność i zmienność, drażliwość i łatwowierność, tę łatwość, z jaką on ulega suggestji, egzaltowaną naturę jego uczuciowości, jego konserwatyzm i nietolerancyjność, wreszcie posiadając instynktową znajomość powyższych czynników, za sprawą których powstają poglądy i wierzenia tłumów, potrafią różnego rodzaju przywódcy tłumów, poczynając od prawdziwie wielkich i genialnych założycieli religji i państw, aż do zwykłych demagogów ulicznych kierować tłumami i wprawiać je w ruch.

Wszyscy ci przywódcy to zawsze ludzie otoczeni pewną tajemniczą władzą, którą Le Bon nazywa urokiem (prestige). Wszyscy muszą mieć fanatyzm, silną wolę i despotyczny charakter.

Le Bon obszernie się zastanawia nad sposobami działania przywódców i środkami, jakich oni używają. Nie będę jednak streszczał dalej jego poglądów, gdyż przedstawiają one tylko zastosowanie w praktyce tych wniosków, do których autor doszedł w swych badaniach nad psychiką tłumu.

Na zakończenie podaje Le Bon klasyfikację tłumów i opis niektórych ich kategorji, jakoto: tłumów t. zw. zbrodniczych, sądów przysięgłych, tłumów wyborczych i zgromadzeń parlamentarnych.

Ramy niniejszego artykułu, nie pozwalają na streszczenie tej części dzieła Le Bona. Pozwolę sobie tylko na zakończenie zwrócić uwagę, że jak widzimy, autor pojmuje tłum bardzo szeroko. Pod tę nazwę podciąga on nietylko tłum właściwy, ale znajduje zasadnicze cechy tłumu u wszelkich zbiorowisk społecznych. Muszę tu jednak dodać, że o ile ja go rozumiem, nie uważa on np. zgromadzeń parlamentarnych za tłumy zawsze. Zgromadzenia te nabierają cech tłumu tylko w pewnych wypadkach. To samo, jak sądzę, należy powiedzieć i o sądach przysięgłych.

Z pism i książek.

Słownik czesko-polski. Oczekiwany z upragnieniem przez miłośników literatury czeskiej, która tak uciesznie i obficie się rozwija, słownik czesko-polski ukazał się wreszcie na widok publiczny w pierwszym zeszycie. Składa się on z trzech arkuszy druku i zawiera wyrazy od A do *czernokrzidly*. Format stanowi ósemkę małą, słownik ma być „kieszonkowym“. Z tego powodu jest on drukowany czcionkami drobnemi, ale bardzo wyrazistemi, których śliczny krój przynosi chlubę drukarni praskiej Alojzego Wiesnera. Pobieżne przejrzenie zeszytu już wskazuje, z jaką dokładnością i sumiennością prof. Hora zabrał się i dokonał swego dzieła. Ten „słownik kieszonkowy“ będzie odznaczał się bogactwem i obfitością słów i niemniej hojnością znaczeń, tak, iż słownik ten, czeski dla nas, będzie polskim dla samych Czechów. Pisowni prof. Hora użył tejże samej, którą podał w swojej gramatyce prof. Adam Antoni Kryński. Niech zwolenników rutynicznej pisowni akademickiej to bynajmniej nie zraża. Przedewszystkiem różnice między obu pisowniami nie są znowu taką przepaścią, jak się rutynistom wydaje. Powtóre, pisownia prof. Kryńskiego jest wyrazem badań naukowych na tem polu. Sami twórcy pisowni akademickiej nie zaprzeczają, że im nie szło bynajmniej o reformę naukową, ale pragnęli okiełznać zamęt na polu pisowniczem na zasadzie najbardziej uświęconej praktyki i bynajmniej nie zaprzeczają pomysłom nowszej szkoły większego uzasadnienia naukowego. Pod tym względem prof. Hora wszedł na drogę po ścisłem zważeniu sprawy, która dla niego zresztą, jako dla nie polaka, mogła być obojętną. Z pewnem wzruszeniem czytamy przedmowę autora, która tak się rozpoczyna: „Naszej literaturze słownikarskiej brakło dotąd słownika czesko-polskiego. Wyznam, że chętnie powstrzymałbym się od napisania go, gdybym miał choć najmniejszą nadzieję, że ktoś inny w naszych czasach weźmie się do takiej pracy. Ale nadziei tej nie było. Zachęcony przez prasę czeską i polską, która życzliwie przyjęła mój „Słownik polsko-czeski r. 1890“, wydany i pobudzony przez licznych przyjaciół polaków, którzy poświęcają niepospolitą łaczność naszemu piśmiennictwu, podjąłem się kilkoletniej pracy, której rezultat podaję teraz szczerym przyjaciołom wzajemności dwóch bratnich narodów. Przyniesie mi to najwyższe zadowolenie, jeśli me dzieło stanie się użytecznym kamyczkiem w moście, który łączy oba te narody“. Z przedmowy okazuje się także, iż autor „Słownika“ korzystał ze słowników Lindego, Rykaczewskiego, z „Encyklopedji powszechnej kieszonkowej“, ze słowników czeskich Kotta i Ranka, ze słownika niemiecko-polskiego i polsko-niemieckiego Booch Arkossego, z dyferencjalnego „Słownika lekarskiego“, który ułożył dr. Chodounsky, a nadto wziął do pomocy „Geografję“ Baranowskiego i Dziedzickiego, oraz „Gramatykę“ Kryńskiego dla terminologji i pisowni. Cztery lata prof. F. A. Hora pracował nad swoim „Słownikiem“, a sześć lat szukał nań nakładcy i to napróżno, bo ani w Czechach, ani śród polaków znaleźć go nie mógł. Lubo człowiek niezamożny, odważył się na wydanie go własnym nakładem. Zacni ludzie, którym składa podziękowanie, między nimi głównie pp. Erazm Majewski i Jan Karłowicz, poparli go ofiarami materjalnemi, dziś pozostaje tylko, aby publiczność poparła go roz kupem dzieła. W najlepszym razie powodzenie materjalne nie wynagrodzi mu wprawdzie czteroletniej pracy i dzisiejszego z wydaniem kłopotu, ale chociaż uchroni od straty materjalnej, dotkliwej dla człowieka, który sterał siły swe w długoletnim trudzie, słabo zabezpieczywszy sobie byt na stare lata. A całe to życie pracował dla naszej dobrej sławy u czechów, pisząc o nas, tłumacząc licznych autorów i pracując nad rzeczami, któreby ułatwiały naszą wzajemność z czechami. Nigdy nie zapomnę, o tem, jak żywo zajmował się pismami polskiemi, z jakiem umiłowaniem pobożnem zabierał się do pracy tłumacza, którą inni *traduttori traditori* zbywają po rzemieślniczemu. Nie będąc pewnym, czy właściwie pojął dane słowo lub wyrażenie, udawał się z prośbą do przyjaciół o wyjaśnienie zagadkowego mu ustępu lub oddzielnego słowa. Jego przekłady więc są pracami, w których artyzm obrobienia nie robi żadnych ustępstw co do wierności. Takich tłumaczów pozazdrościć może czechom każda literatura. Nie od rzeczy będzie wspomnieć tutaj, że prof. Hora urządził całkiem bezinteresownie w Pilznie kurs języka polskiego, na który zgłosiło się 30 osób różnych stanów, nauczyciele i nauczycielki szkół ludowych i mieszczańskich, urzędnicy, obywatele i obywatelki miasta Pilzna. Z kursem tym mają być połączone wykłady literatury. Uczniowie szkoły realnej, gimnazjum, seminarjum pedagogicznego i akademji handlowej podali prośbę do swej władzy, aby im pozwoliła brać udział w tych lekcjach. Był oddawna marzeniem prof. Hory. Jeszcze w r. 1883 im ułożył był „Wypisy polskie“, które leżą w rękopisie dla braku nakładcy. Zaiste, piękna to działalność, poświęcona wytrwale idei, nawet w czasach, gdy ta idea popularną nie była. *Bronisław Grabowski.*

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.